

# Doktoraty copy-paste. Polska nauka uzależniła się od plagiatów



Grzegorz Sroczyński

**Gazeta Wyborcza 26.04.2021**

- To byłby ogromny despekt dla państwa. Gigantyczna afera. Wyobraża pan to sobie? Nagle jedna trzecia polskich prac dyplomowych obronionych w ostatnich latach świeci się w programie antyplagiatowym na czerwono - z prof. Markiem Wrońskim rozmawia Grzegorz Sroczyński.

**Grzegorz Sroczyński: Jak to się robi?**

**Marek Wroński:** Nie chcę o tym mówić.

**Idę do biblioteki uniwersyteckiej, przeglądam doktoraty - najlepiej te starsze, żeby nie było ich w internecie - wybieram jakiś w miarę zgodny z moimi zainteresowaniami naukowymi, kseruję i publikuję jako własną habilitację. Tak?**

Od 20 lat z tym walczę i nie zamierzam tu dawać instruktażu, pomagać oszustom. Nierzetelność naukowa opiera się na trzech głównych filarach: plagiat, fałszowanie danych naukowych i fabrykacja - czyli zmyślanie - danych naukowych. Z tych trzech nierzetelności plagiat najłatwiej wykryć i udowodnić. Porównuje się dwie prace i to z reguły wychodzi. Inne przekręty wykryć trudniej. Fałszowanie danych polega na przykład na zwiększaniu liczby badanych przypadków. Kiedy otrzymane wyniki za słabo pasują do tezy pracy, to czasem autor - chociaż prowadził samodzielne badania - wyniki ulepsza. Z kolei fabrykowanie danych to branie ich z sufitu, czyli nie prowadzi się żadnych badań, tylko je sobie wymyśla. Mamy w Polsce wiele [prac](#) napisanych na podstawie sfałszowanych, a czasami zmyślonych danych naukowych. Zwykle takie nierzetelne prace wypływają przez przypadek. Profesor chirurgii z Nowego Jorku dostał od czasopisma naukowego w Londynie maszynopis artykułu do recenzji, który czasopismo dostało do druku od chirurgów z Turcji. Ci splagiatowali tekst opublikowany po angielsku dwadzieścia lat wcześniej w czasopiśmie naukowym w Południowej Afryce.

**Sprytnie.**

Tak. W dodatku spośród tamtejszych czasopism wybrali małe i lokalne, a nie jakieś większe i bardziej prestiżowe. Pech chciał, że autor tej pracy opublikowanej w Południowej Afryce został w międzyczasie profesorem w prestiżowym szpitalu klinicznym w Nowym Jorku i dostał do recenzji własny tekst sprzed wielu lat, który opublikował jako początkujący lekarz.

## **Polscy naukowcy częściej plagiatują i fałszują dane niż inni?**

Uważam, że dużo częściej niż akademicy w krajach europejskich takich jak Anglia, Niemcy, Francja, Hiszpania czy Portugalia. I odrobinę rzadziej, niż to robią w Rumunii, Bułgarii czy [Rosji](#).

## **Istnieje jakaś polska specyfika plagiatowania?**

Typowe u nas jest to, że jak się komuś plagiat udowodni, to częściej niż w innych krajach takie osoby idą w zaparte i zaprzeczają oczywistym faktom. Mamy mniejszy zapał do skruchy.

## **Dlaczego?**

Bo panuje większe przyzwolenie środowiska naukowego, czyli delikwent wie, że koledzy przymkną oko. Poziom rzetelności społecznej jest o wiele niższy. W krajach Zachodu jest mocny nacisk społeczny, żeby kogoś takiego z grona naukowców i nauczycieli akademickich wyrzucić.

## **Na zawsze?**

Tak. Rzadko się zdarza, że ktoś po plagiacie wraca do pracy naukowej. To z reguły kończy karierę.

## **A u nas?**

Nie kończy. Za rok czy za dwa lata ktoś taki wypływa na innej uczelni, w oddalonym mieście. Często na jakiejś prywatnej, ale także i na państwowej. Może nie zostaje od razu kierownikiem zakładu czy katedry, ale dalej jest zatrudniony i koledzy nie pozwalają utonąć. Po jakimś czasie próbuje awansować i często to się udaje.

## **Dlaczego tak jest?**

Bo mamy w Polsce niski poziom rzetelności społecznej. Nie tylko w nauce. Kreatywność naszych naukowców w plagiatowaniu prac jest godna podziwu. Przed prawie 25 laty jednemu z ówczesnych profesorów ze Śląskiej Akademii Medycznej udowodniłem 49 plagiatów.

## **Ile?!**

Napisał jeszcze kilkadziesiąt innych prac po angielsku, ale nie miałem już czasu ich sprawdzać. Jego modus operandi był taki, że brał dobre artykuły z zachodnich czasopism medycznych, tłumaczył na polski i proponował kolegom-klinicytom, profesorom ginekologii czy chirurgii, żeby włączyli się w jego badania. Ich podstawą były zmiany biochemiczne enzymów i pierwiastków w surowicy krwi w różnych chirurgicznych czy ginekologicznych stanach patologicznych, które były operowane. Stąd koledzy-klinicyści w ramach wspólnych badań wysyłali mu krew pacjentów z takimi czy innymi schorzeniami. Za pół roku nasz bohater przychodził z gotowym maszynopisem i wynikami, profesorowie-klinicyści byli dopisywani jako współautorzy i artykuły szły do druku w najlepszych ówczesnych polskich czasopismach medycznych.

## **Ale do czego mu były potrzebne próbki krwi pacjentów? Przecież prace plagiatawał.**

Do pozorowania badań. Powiedzmy, że chce pan opublikować artykuł o wpływie jakiegoś enzymu na powstawanie kamicy woreczka żółciowego. Znajduje pan taką pracę po angielsku w zachodnim periodyku naukowym, tłumaczy na polski, ale jest tam pełno badań i liczb. Musi pan te badania też „spolszczyć”, czyli mieć jakiś dowód, że to pan je przeprowadził na grupie konkretnych pacjentów. Więc on szedł do kliniki do znanego profesora i mówił: „Podobno macie dobre wyniki leczenia kamicy woreczka żółciowego”. „No, owszem”. „A ilu macie pacjentów?”. „Okolo stu rocznie, a co?”. „A bo ja wpadłem na pomysł, że jeżeli zmierzmy enzym taki i taki, to jego poziom pokaże nam, czy ten pacjent po operacji będzie miał nawrót choroby, czy też nie. Czy moglibyśmy razem to sprawdzić i opublikować pracę?”. „A co panu potrzebne?”. „Tylko surowica tych pacjentów i ich dane kliniczne”. No to profesor wołał adiunkta i kazał mu wysłać próbki krwi do instytutu biochemii, w którym pracował nasz bohater. Probówki były wysyłane, a po pół roku on przychodził: „Proszę, niech pan profesor zobaczy, jak świetnie nam to wszystko wyszło”.

## **I tych próbek nie badał?**

A po co? Przecież wyniki miał w tej splagiatowanej pracy. Jak sprawdzałem dane, to w stosunku do oryginału zmieniona była najwyżej druga cyfra po przecinku.

**Czy takie ordynarne plagiatowanie nie jest strasznie ryzykowne? Przecież polskie środowisko naukowe te zachodnie periodyki czyta, więc jeśli tam się ukazuje artykuł o wpływie jakiegoś enzymu na woreczek żółciowy, a ktoś to publikuje w Polsce jako własne, no to któryś z tych profesorów od woreczka powinien się polapać.**

Ale nikt się nie zorientował. To było w połowie lat osiemdziesiątych - nie było internetu, za to był olbrzymi deficyt zachodnich czasopism. Ten człowiek całymi tygodniami przesiadywał w bibliotece w poszukiwaniu nowych prac, mnóstwo czytał i raczej nie spotykał tam tych profesorów-klinicystów.

## **Po co to właściwie robił? Dla pieniędzy?**

Nie. Wiele lat później powiedział mi, że zyskiwał w ten sposób sympatię i koleżeństwo profesorów chirurgii i ginekologii, którzy nadawali ton i prestiż ówczesnej rady wydziału.

## **Koleżeństwo profesorów?**

W polskim środowisku naukowym panowała i nadal panuje ogromna hierarchia. Stosunki bywają feudalne. Ten człowiek nie był klinicystą, tylko biochemikiem i na radzie wydziału miał niski prestiż, większość klinicystów patrzyło na niego raczej z góry. Więc te pierwsze splagiatowane prace były po to, żeby chirurdzy czy ginekologodzy uznali go za kogoś równego sobie. Klinicyści zabiegowi rzadziej publikują, bo pochłania ich praca kliniczna i zabiegi operacyjne. Dla pacjenta jest ważny rezultat operacji i biegłość chirurga, a nie liczba prac, którą opublikował. Natomiast za liczbę prac rozliczał dziekan i więcej prac zwiększało szanse awansowe. Jak te prace „ze współpracy” zaczęły wychodzić drukiem, to profesorowie byli zadowoleni, bo zarówno klinika zwiększała dorobek, jak i lista ich publikacji szybko się powiększała. Przeszli z nim na „ty” i zaczął się cieszyć dużym prestiżem naukowym w wydziałowym gronie profesorskim.

## **I on to panu opowiadał? Przyznał się?**

Spotkałem go po 10 latach, gdy mentalnie był już innym człowiekiem - zdał sobie sprawę z własnej winy i błędów. Miałem wtedy w Katowicach wykład na temat niezetelności naukowej, on był słuchaczem i potem usiedliśmy przy kawie. Parę lat temu znów natknąłem się na jego nazwisko, bo zaczął pracować w prywatnej szkole wyższej, gdzie wykładał biochemię skóry i kosmetologię. Napisałem do pani rektor, że nie wypada, żeby on wrócił do szkolnictwa wyższego.

## **To nie jest trochę okrutne?**

Nie jest. Jak panu pijany kierowca na czerwonym świetle rozjedzie babcię z wnuczką i nawet prawa jazdy mu nie odbiorą, a potem się pan dowiaduje, że zaczyna wozić dzieci autobusem szkolnym, to pan nie zareaguje? Naturalna zdrowa postawa. W [USA](#) takiego pytania, jak pan mi teraz zadał, nikt by nie postawił i nikt by się nie dziwił. Zaręczam panu, że fałszowanie badań w nauce może mieć podobne skutki jak jeżdżenie po alkoholu, taką niezetelną pracą z medycyny można zabić ludzi.

## **No dobrze. Ale jak to możliwe, że polscy naukowcy nie boją się plagiatować?**

Już mówiłem: przyzwolenie środowiska oraz znaczny nacisk na szybką karierę akademicką

## **Ale przecież teraz wszystko jest w internecie. Wystarczy przepuścić pracę przez program antyplagiatowy.**

Jeden z ostatnich przypadków: doktor anglistyki z Zielonej Góry, wzięła cztery doktoraty w języku angielskim obronione w USA i w Anglii, jak również trzy prace magisterskie z Holandii, USA i wkleiła ich znaczące fragmenty do swojej monografii habilitacyjnej, którą przedstawiła na Uniwersytecie Wrocławskim. Recenzentka w pewnej chwili zwróciła uwagę, że jakość angielszczyzny w tej pracy raz jest świetna, a raz słabsza. Dziwne, prawda? Wrzuciła do Google'a kilka zdań tego lepszego tekstu i wyskoczyła jej tamta holenderska praca. Dalsze poszukiwania potwierdziły, że ponad 70 procent tekstu przejęte jest z wielu zagranicznych prac.

## **No i właśnie.**

Ale co tego? Habilitacja co prawda upadła, dziekan z Wrocławia w czerwcu zeszłego roku powiadomił rektora Uniwersytetu Zielonogórskiego i do dziś nic się nie stało, pani adiunkt nadal pracuje, postępowanie wyjaśniające nadal nie jest zakończone, mimo że wszystkie dowody rzecznikowi podano na talerzu.

## **Jeśli ktoś chce być sprytniejszy, to jak to robi? Jedzie do Berlina, idzie do biblioteki jednego z uniwersytetów - zależnie od swojej dyscypliny naukowej - wybiera coś sprzed 10-20 lat, żeby nie było tego z necie, tłumaczy na polski i publikuje, tak?**

Powtarzam: nie będę dawał instruktażu. W Niemczech obowiązuje zasada, że wszystkie doktoraty muszą być upublicznione. Prace są sukcesywnie wrzucane do internetu, więc w ostatnich latach w miarę ich upubliczniania różne plagiaty zostały odkryte.

## **U nas doktoraty nie muszą być upubliczniane?**

Po obronie już nie. Bardzo niewiele dysertacji trafia do przestrzeni publicznej. Minister Kudrycka chciała, żeby wszystkie prace magisterskie z ostatnich 10 lat obowiązkowo przebadac systemem antyplagiatowym i uczelnie dostały kilkanaście miesięcy na to, aby zeskanować stare prace i wrzucić je do takiego wspólnego kotła, gdzie by można je potraktować programami antyplagiatowymi. Ale po jej odejściu to zatrzymano. Jedną z pierwszych decyzji, którą podjął minister Gowin, polegała na rozbrojeniu tych przepisów.

## **Dlaczego?**

Bo wiele osób zdaje sobie sprawę, że prawdopodobnie około 30 procent prac dyplomowych - szczególnie ze słabszych uczelni - to są prace w części nierzetelne. Kupione lub przepisane, czyli splotowane w dużej części. Kończy pan studia np. gdzieś w Przemysłu i bierze pracę magisterską od kuzynki ze Szczecina. W okresie polskiego boomu edukacyjnego to była przecież masowa produkcja magistrów w prywatnych i państwowych uczelniach za niezłe pieniądze. Wszystko by się wydało.

## **I taki Gowin czy inny minister co by musiał zrobić?**

Jakoś to zwalczać. I byłby ogromny despekt dla państwa. Gigantyczna afery. Wyobraża pan to sobie? Nagle jedna trzecia czy jedna czwarta polskich prac dyplomowych obronionych w ostatnich latach świeci się w programie antyplagiatowym na czerwono.

## **Trzeba by te magisterki zabierać?**

Prawo jest tak skonstruowane, że nadanie dyplomu wyższej uczelni to decyzja administracyjna, unieważnić ją można tylko przez 10 lat. Czyli w 11. roku od obrony nierzetelny dyplomant jest już bezpieczny. Stopnia zawodowego nie można już unieważnić.

## **Ubyłyby nam 30 procent magistrów z ostatniej dekady?**

Nie wiem, bo procedura administracyjna jest skomplikowana, to nie działa automatycznie. Ale przede wszystkim państwo by wyglądało na totalnie niepoważne. Wielki wstyd. Już nie mówiąc o tym, że to byłby kłopot dla osób, które są na różnych stanowiskach. Również ministerialnych. Przecież ciągną się sprawy dwóch byłych ministrów z PO, którzy mają zarzut plagiowania: jeden podobno przepisał magisterkę, a drugiemu zarzucono naruszenie praw autorskich w doktoracie. Stopnie naukowe to dla wielu taka waluta.

## **Ile doktoratów jest lewych?**

Trudno powiedzieć. Nie ma badań. Co najmniej kilka procent. Rzetelność stopni zależy od miejsca. Na tych dużych czołowych polskich uczelniach doktoraty są raczej rzetelne. I niektóre uczelnie prace doktorskie upubliczniają po obronie w repozytorium. Ale już doktoratu byłego wiceministra sprawiedliwości Patryka Jakiego nie przeczyta pan na stronie Akademii Sztuki Wojennej. Politycy - niezależnie od barw partyjnych - mają swój interes w tej nieprzejrzystości naszej nauki.

## **Jaki?**

Właśnie taki, że cały ten boom edukacyjny ostatnich 20 lat zostałby skompromitowany, a prywatne szkoły wyższe okazałyby się jeszcze większą fikcją, niż się domyślamy. Ostatnia ustawa o szkolnictwie wyższym - tzw. ustawa 2.0 - zlikwidowała nawet kluczowe zapisy, że wszystkie tzw. prace awansowe - doktoraty, habilitacje - można unieważniać z powodu nierzetelności naukowej bezterminowo. Teraz rządzi tym Kodeks postępowania administracyjnego, bo minister Gowin wszystkie te ważne przepisy usunął.

## **Dlaczego?**

Bo to przeregulowanie prawa, trzeba prawo uprościć itd. Część polityków mocno za tym lobbowała. Od 13 lat toczy się formalnie sprawa plagiatu prof. Mirosława Krajewskiego, historyka, byłego posła SLD, potem Samoobrony. Napisał w 1994 roku pracę habilitacyjną o powstaniu styczniowym na podstawie monografii ks. Lissowskiego, która została opublikowana w 1938 roku. Przejął z tej przedwojennej pracy większość danych, łącznie z odnośnikami do źródeł archiwalnych. Tyle że w międzyczasie była II wojna światowa i np. archiwum w Warszawie spłonęło. Jeden z historyków się zorientował, że autor pracy nie mógł widzieć i przestudiować dokumentów, na które się powołuje, bo już ich nie ma, spaliły się, a inne archiwalia z tamtych czasów Niemcy w czasie wojny wywieźli do Berlina i nie były dostępne dla polskich historyków. Rada Wydziału Historii UMK po wielu prawnych peregrynacjach unieważniła prof. Krajewskiemu habilitację. Z powodu błędów proceduralnych sprawa się mocno przeciągnęła i przeszła przez wiele instancji w sądach administracyjnych, ale ostatnio w połowie grudnia 2020 roku po raz kolejny odebrano stopień. Prof. Krajewski w międzyczasie energicznie protestował i lobbował przeciwko prawu, które pozwala bezterminowo odbierać stopnie naukowe. I nagle się okazało, że bezterminowe odbieranie nierzetelnych tytułów naukowych nie jest w interesie społecznym i bije w ustrój państwa prawa. Krytykowane przepisy zniknęły, wbrew protestom Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów oraz ostatnio Rady Doskonałości Naukowej.

## **A profesurę można w Polsce komuś odebrać za plagiat?**

Jak ten ktoś został mianowany przez prezydenta, to już nie.

## **Nawet jeśli wyjdzie na jaw, że wymyślił badania z sufitu albo przepisał habilitację słowo w słowo?**

Nawet wtedy. Jeden z historyków ze Śląska przed laty popełnił kilka jednoznacznych plagiatów, które wzburzyły ówczesne środowisko. Jednak po 20 latach Uniwersytet Rzeszowski zaaprobował jego wniosek profesorski. W Centralnej Komisji nadającej formalnie ten tytuł byli wybitni historycy, którzy wiedzieli o tych dawnych plagiatach i mimo to nikt nie zaprotestował. Ostatnio został mianowany dyrektorem Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego, a pan prezydent podpisał akt nominacyjny i praktycznie nic nie można już zrobić.

## **Nic?**

Prezydent nie ma żadnych prawnych możliwości cofnięcia nadanego tytułu profesorskiego. Jeśli sprawa plagiatu wyjdzie, zanim podpisze nominację, to może dokumenty zwrócić do weryfikacji Rady Doskonałości Naukowej, która może wniosek unieważnić. Jednak dotyczy

to tylko plagiatu. Każda inna „zbrodnia naukowa” nie może być zwrócona i prezydent jedynie może włożyć taką nominację do szuflady i tam trzymać. Nie podpisywać. Zresztą tak właśnie leży jeden wniosek profesorski, który w ostatnim momencie zablokowałem. Chodzi o księdza-muzyka, barytona, któremu unieważniono w Gdańsku plagiatowy doktorat z historii, oraz w Opolu habilitację z teologii. Kiedy oba stopnie odebrano, błyskawicznie zrobił nowy doktorat z muzykologii i dwa lat później habilitację, gdyż dobrze śpiewa i jest dyrygentem chórów kościelnych. Wniosek profesorski przeszedł najpierw przez Akademię Muzyczną w Łodzi oraz przez Centralną Komisję, gdzie dobrze wiedziano o wcześniejszych jego grzechach. Przekazano go do Kancelarii Prezydenta i gdy się o tym dowiedziałem, zaprotestowałem. Nominacja od dwóch lat jest w szufladzie, bo prezydent nie ma możliwości odmowy nadania tytułu, jeśli złamano dobre praktyki naukowe i poważnie naruszono etykę.

### **Czy to prawda, że polscy profesorowie przepisują od studentów i doktorantów?**

Zdarza się. To sposób typowy dla naszych polskich stosunków w nauce i wykorzystywany często: bierze się pracę od doktoranta i z niej korzysta. Rzadko takie rzeczy są karane. Mam od dwóch lat sprawę, gdzie promotorka znacznie zaczerpnęła od doktoranta kluczowe dane jego pracy i wykorzystała w książce profesorskiej. Tymczasem doktorant się wspaniale obronił i dostał pierwszą nagrodę w ogólnopolskim konkursie. Jak przeczytał monografię profesorską swojej promotorki, to się bardzo przestraszył, bo tą pierwszą nagrodą było wydanie zwycięskiej pracy doktorskiej w formie książkowej. Spędził kilka miesięcy na formatowaniu doktoratu od nowa, żeby tylko nie wyszło, że jest podobny do monografii promotorki.

### **Ochronił promotorkę?**

I tak, i nie. Promotorka ma znane nazwisko. Sprawa wyszła na światło dzienne w uczelni i promotorka musiała odejść, ale na prestiżowe stanowisko o dwa oczka wyżej. Środowisko nie lubi, jak się takie rzeczy wyciąga. Pamiętają to. Kiedy parę dobrych lat temu pewien adiunkt ujawnił, że profesor splagiatował jego pracę, to opisałem tę sprawę w „Forum Akademickim”. No i po pięciu latach jak adiunkt się habilitował, to profesor stanął na głowie, żeby mu tę habilitację zatrzymać.

### **I zatrzymał?**

Naturalnie. Większość „whistleblowerów”, z którymi rozmawiałem, mówi mi tak: „W życiu już nigdy się tym nie zajmę, niczego już nie będę ujawniał”. Naukowcy, którzy piszą negatywne recenzje, że praca jest słaba albo splagiowana, bywają pozywani do sądów za naruszenie dobrego imienia. Pani profesor z Torunia, która napisała w recenzji, że habilitantka przepisała jej pracę, została przez nią pozwana do sądu. Znam co najmniej dziesięć osób, które są ciągnane po sądach, bo mieli odwagę napisać komuś negatywną recenzję pracy doktorskiej czy habilitacyjnej.

### **Jak to możliwe, że profesor zrzuca z magisterek swoich studentów? Przecież to powinien być zupełnie inny poziom.**

Wybiera najlepszych studentów i tylko od takich przepisuje. Są różne sposoby. Były dziekan wydziału prawa Uniwersytetu Gdańskiego miał taki system, że najzdolniejszym studentom dawał do prac magisterskich określone tematy, które już sobie zaplanował i nawet podpisał

umowę z wydawnictwem na wielki tom o prawie międzynarodowym. Każdy rozdział miał już tytuł i te tytuły po kolei dawał najlepszym studentom. I oni to pisali.

### **Wiedzieli?**

Nie. A jak się dowiedzieli, to dali mu glejt: nie mam nic przeciwko temu, że moja praca magisterska znalazła się w rozdziale książki pana profesora.

### **On się na nich powołał w książce?**

Skądże. Zapewne oni byli wściekli, ale nie chcieli mieć kłopotów.

Plagiatowanie bardzo wzrosło też z powodu wprowadzenia czasowych wymogów na zrobienie habilitacji oraz z powodu grantozy, która opanowała naszą naukę. Wszyscy muszą nieustannie szukać pieniędzy z grantów i to się często przeradza w masową produkcję kiepskich prac. Ktoś na przykład dostaje grant 30 tysięcy na wydanie książki, ta książka figuruje później w sprawozdaniu, że została wydana, a w bibliotece jej nie ma, nigdzie jej nie ma. Ale punkty zostały przyznane i grant został rozliczony.

### **Jak to możliwe?**

Przecież może pan wydrukować taką książkę w dwudziestu egzemplarzach na zamówienie i trzymać je w piwnicy, żeby nikt nie przeczytał i się nie zorientował, że to plagiat. Nie wysyła pan tego do żadnej biblioteki, mimo że jest to obowiązek wydawnictwa. Ale autor mówi: „sam rozesłę” i składa pod łóżko całość wydania oprócz paru wymaganych awansem książek.

W ramach reformy szkolnictwa wyższego wprowadzono punkty za publikacje w czasopiśmie naukowych. Uczelniom na tych punktach zależy, więc zaczęły stosować zachęty finansowe: publikujesz pracę w dobrym czasopiśmie, to dostajesz od rektora parę tysięcy złotych. Na Politechnice Wrocławskiej kilka lat temu jeden z adiunktów wpadł na pomysł, żeby sobie dorobić. Posyłał kiepskie prace do prestiżowego czasopisma, w którym obowiązywał zwyczaj, że autor może zaproponować recenzentów - dwóch wybitnych profesorów, którzy na danej dziedzinie się znają. On więc proponował tych recenzentów, rzeczywiście były to światowe sławy, i dla wygody redakcji podawał od razu ich adresy mailowe. Te adresy stworzył własnoręcznie w Gmailu. Za jakiś czas redakcja przysyłała mu do recenzji jego własny artykuł, jak się można domyślić recenzje wracały entuzjastyczne, praca się ukazywała, a nasz bohater inkasował 2500 zł od uczelni za zebrane punkty. No ale siódma praca była już tak kiepska, że zastępca naczelnego złapał się za głowę, kiedy przeczytał bardzo pozytywną recenzję o tym beznadziejnym maszynopisie. Wziął telefon i zadzwonił do Tokio, bo „recenzentem” był japoński profesor. I się wydało.

### **I co?**

Siedem artykułów zostało unieważnionych, adiunkt odszedł z uczelni.

### **Czy plagiatowanie w Polsce się nasila?**

Tak.



## **Dlaczego?**

Bo ludzie są bezkarni. Sytuacja z ostatnich miesięcy: rektorowi Uniwersytetu Gdańskiego Jerzemu Gwizdale unieważniono wniosek profesorski z powodu plagiatu.

## **Słucham? Rektorowi?!**

Podał się do dymisji, napisał list z przeprosinami do Senatu uczelni. I cisza. Rada Doskonałości Naukowej, gdzie ostatnio trafiło jego odwołanie w sprawie unieważnienia, zawiesiła postępowanie w tej sprawie aż do momentu, kiedy prokuratura skończy śledztwo i zakończy się postępowanie dyscyplinarne. Jest to wbrew przepisom. To będzie trwało miesiącami, a nawet latami, gdy akt oskarżenia pójdzie do sądu. Sprawa jest tutaj ewidentna, prof. Gwizdała przepisał kilkanaście stron „copy and paste” z doktoratu, który recenzował. Nawiasem mówiąc, jego monografia habilitacyjna z 2011 roku również wielokrotnie narusza prawa autorskie i jest w procedurze unieważniania.

Kolejną ciekawostką jest fakt, iż ostatnio rzecznik dyscyplinarny ministra edukacji i nauki, prof. Michał Królikowski z Wydziału Prawa UW, zakończył postępowanie wyjaśniające i zażądał ukarania byłego rektora pozbawieniem prawa do wykonywania zadań promotora i recenzenta w przewodach awansowych przez pięć lat. To śmiesznie niska kara!

## **No ale co mogą innego zrobić? Mówił pan, że nie można profesorowi zabrać tytułu.**

Formalnie mianowanemu, gdy ukaże się jego nazwisko w Dzienniku Urzędowym, już nie można. Ale wniosek rektora Gwizdały po wykryciu naruszeń w książce profesorskiej prezydent Andrzej Duda zwrócił, bo poinformowano go o zarzucie plagiatu, nim zdążył nominację podpisać.

## **To pan go zdemaskował?**

Nie, ja to tylko upubliczniłem. Zostałem anonimowo poinformowany, że jego prace są plagiatami i sprawdziłem to. Anonim poinformował też wszystkich recenzentów w postępowaniu profesorskim. Tylko jedna osoba - prof. Monika Marcinkowska - się tym przejęła i napisała list do Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułu [organ przestał istnieć z końcem 2020 roku, a jego prerogatywy przejęła Rada Doskonałości Naukowej], że wycofuje swoją pozytywną recenzję z powodu plagiatu i innych nierzetelności.

## **Dlaczego ktoś z dużym dorobkiem na stanowisku rektora plagiatuje czyjąś pracę? Nie mógł sam tego napisać?**

Prawdopodobnie nie był w stanie samodzielnie napisać tzw. książki profesorskiej. Sześć rozdziałów do niej przejął z własnej monografii habilitacyjnej, a z kolei ta habilitacja też była splagiatowana. Taki styl „pracy”. Wszystko na oczach całego wydziału, bo już przy habilitacji w 2011 roku jeden z recenzentów napisał, że to plagiat, zresztą właśnie od niego to zostało przepisane.

## **I habilitacja przeszła?**

Tak.

## **W jaki sposób?**

Po prostu. W radzie wydziału innym recenzentem był ówczesny przewodniczący Sekcji Ekonomicznej Centralnej Komisji do Spraw Stopni i Tytułu. Obecnie jest w Prezydium Rady Doskonałości Naukowej. Po prostu wszyscy zamknęli oczy.

## **A były rektor Gwizdała jak się tłumaczy?**

Nie tłumaczy się. Zaraz po rezygnacji przeprosił za kłopot. Ale obecnie pewnie uważa, że wszystko jest w porządku, bo odwołał się od decyzji Centralnej Komisji, która w końcu września 2020 roku unieważniła jego wniosek profesorski z powodu plagiatu.

Mój artykuł o zarzutach wobec rektora Gwizdały ukazał się w „Forum Akademickim” we wtorek. W środę rano trójmiejska „Wyborcza” również napisała o plagiatach. W czwartek rano „Wyborcza” opublikowała nawet konkordancję jego pracy razem z tekstem pracy doktorskiej, którą splagiatował: tylko pierwsze i ostatnie zdanie były jego, reszta pracy copy-paste. Od środy trąbiły też inne media, w tym gdańskie radio i telewizja, czyli prawie wszyscy się dowiedzieli. A w czwartek przed południem było posiedzenie Senatu Uniwersytetu Gdańskiego. I proszę sobie wyobrazić, że żaden z 60 senatorów nie zapytał rektora: „Co pan profesor powie na temat zarzutów plagiatu?”. Nikt z wybitnych profesorów, prorektorów, dziekanów o to nie zapytał i jeszcze Senat wybrał go przewodniczącym komitetu honorowego nadawania doktoratów honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego. Cztery dni później rektor zrezygnował...

## **Dlaczego tak jest?**

Bo ludzie chcą mieć święty spokój.

Prowadzę swoją antyplagiatową rubrykę w „Forum Akademickim” od prawie 20 lat. Co tydzień dostaję kilka nowych przypadków, jestem tym zavalony, bo wszystko trzeba starannie sprawdzić. To mi zabiera cały czas. Ciągle biję głową o mur bezsilności decydentów i niechęci środowiska.

## **To po co pan to robi?**

Z charakterologicznej przekory. Zainteresowałem się problemem plagiatu, kiedy pracowałem naukowo w Nowym Jorku. Od tego czasu ciągle zbieram nowe przypadki, ludzie do mnie piszą z całej Polski. Nie prowadzę już prawie wykładów z przedmiotów medycznych, za to uczę studentów o ochronie własności intelektualnej, mam też wykłady o nierzetelności w polskiej nauce w różnych uczelniach. Próbuję pokazać młodym naukowcom, do czego prowadzi uleganie pokusie plagiatu i naruszanie dobrych praktyk naukowych. Pokazuję im konkretne przypadki. Niestety, wiele jest karanych kłapką po łapkach.

Kiedyś naukowcy też robili różne brzydkie rzeczy w nauce, ale jak to wychodziło na jaw, to jednak reakcja i presja środowiska była ostra.

## **Ma pan swój ulubiony przypadek?**

W swoich zbiorach mam prawie 10 tysięcy przykładów z różnych dyscyplin, profesji i krajów. Niektóre są fascynujące - szczególnie rola przypadku w wykryciu nierzetelności!

Przy okazji: o plagiaty w środowisku dziennikarskim w ogóle się nie mówi. Jest tu jeszcze gorsza sytuacja niż w nauce. Mogę wygłosić panu za tydzień wykład „Plagiaty polskich dziennikarzy”. Chce pan posłuchać?

\*\*\*

*Marek Wroński jest lekarzem anestezyjologiem, naukowcem, wykładowcą akademickim, doktorem habilitowanym nauk medycznych, felietonistą „Forum Akademickiego”, gdzie od dwóch dekad prowadzi rubrykę „Z Archiwum Nieuczciwości Naukowej”. W latach 1989-2007 pracował naukowo w Nowym Jorku. Obecnie jest profesorem na Akademii Kaliskiej.*